



© Théodore Brauner

**S. Jizhar, właśc. Jizhar Smilanski** (ur. 1916 w Rechowot w Palestynie, w Imperium Osmańskim, zm. 2006 w Meszar w Izraelu) – izraelski pisarz, członek Knesetu przez siedemnaście lat, nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie oraz na Uniwersytecie Telawiwskim. Pochodził z rodziny rosyjskich imigrantów, brał udział w wojnie o niepodległość Izraela jako oficer wywiadu. Autor powieści, opowiadań i książek dla dzieci. Laureat Nagrody Izraela (1959), Nagrody Brennera, Nagrody Bialika i innych. Książki S. Jizhara przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków.

S. Jizhar

CHIRBET  
CHIZA  
—  
WIĘZIEN

Z JĘZYKA HEBRAJSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
DARIA BONIECKA-STĘPIEŃ

POSŁOWIE DO *CHIRBET CHIZA*  
DAVID SHULMAN

Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
AGNIESZKA PIOTROWSKA



*claroscuro*

# 1

Istotnie, to wszystko wydarzyło się dawno temu, ale nadal nie chce ode mnie odejść. Pragnąłem to zatopić w codziennym zgiełku spraw, umniejszyć tego wartość, stłumić, nawet udawało mi się, czasami, trzeźwo wzruszyć ramionami i zobaczyć, że to wszystko nie było w sumie aż takie straszne, gratulowałem sobie cierpliwości, która – jak wiadomo – jest towarzyszką prawdziwej mądrości. Ale chwilami na nowo wracam do tego, z drżeniem, ze zdziwieniem, jak łatwo zostać oszukany, dać się zwieść oczom, dołączając niechybnie do Wielkiej Społeczności Kłamców – zbudowanej z ignorancji, opłaczalnej obojętności i po prostu z bezwstydneho egoizmu; jak łatwo przekształcić jedną wielką prawdę w cyniczne wzruszenie ramion starego grzesznika. Widziałem, że już dłużej nie można się wahać, chociaż wiem, do jakiego końca to doprowadzi. Powiem, jak to się zaczęło; wydaje mi się, że zamiast milczeć, najwyraźniej będzie lepiej otworzyć się i zacząć opowiadać.

Można opowiadać po kolei. Zacząć od pewnego słonecznego dnia, pewnego zimowego słonecznego dnia, opisać

w szczegółach początek podróży i samą podróż, gruntowe drogi, zmoczone wcześniejszym deszczem, zbrązowiałe i wilgotne żywopłoty sadów owocowych, których pnie, tak jak zawsze, parzyły jęzory gęstych ciemnozielonych, wilgotnych pokrzyw; kiedy nastawało południe, miłe, przyjemnie powolne południe, które jak zwykle przetaczało się w chłód gasnącego zmierzchu, kiedy wszystko było za nami, skończone, zrobione.

Może lepiej jednak rozpocząć w inny sposób, przywołując od razu to, co od samego początku stanowiło cel tego dnia, „rozkaz operacyjny”, numer taki to a taki, takiego i takiego dnia miesiąca, na którego marginesie, w ostatnim paragrafie, zatytułowanym po prostu „Inne”, napisano na półtorej linii, że chociaż zadanie musi zostać wykonane w sposób dokładny i zdecydowany, to w żadnym razie „nie można dopuścić do buntu”, tak było napisane, „oraz niezdiscyplinowanego zachowania”, co od razu sugeruje, że jest coś na rzeczy, że wszystko jest możliwe (że wszystko jest zaplanowane i z góry przewidziane). Nie można właściwie ocenić tego logicznego zakończenia, nie powracając do początku, nie analizując także tego ważnego paragrafu, który od razu ostrzegał przed narastającym niebezpieczeństwem „ze strony infiltratorów”, „grup przestępczych” i – jakże piękne to wyrażenie – „agentów na wrogich misjach”; i kolejnego paragrafu, tego jeszcze bardziej godnego uwagi, który wyrażnie mówił, że należy „zgromadzić mieszkańców, poczynając od określonego punktu (zobacz załączoną mapę) do określonego punktu (zobacz tę samą mapę) – załadować ich na

ciężarówki i przewieźć za nasze linie; wysadzić w powietrze kamienne domy, spalić chaty; aresztować młodzież i podejrzanym i oczyścić teren z »wrogich sił« i tak dalej, i tak dalej. Teraz staje się jasne, jak wiele dobrych i szczerych nadziei pokładano w tych, których wysyłano, aby „spalić-wysadzić w powietrze-aresztować-załadować-i-przewozić”, tych, którzy będą palić, wysadzać w powietrze, aresztować, załadowywać i przewozić z kurtuazją i powściągliwością wynikającą właśnie z kultury, co będzie znakiem, że powiał wiatr zmian, znakiem dobrego wychowania i może także żydowskiej duszy, tej wspaniałej żydowskiej duszy.

I tak się stało. Kiedy wyruszyliśmy tego nieskazitelnego i cudownego zimowego ranka, cieszyliśmy się drogą – wykapani, najedzeni, dobrze ubrani – i tak, owiewani lekkim wiatrem, wysiedliśmy w miejscu, w którym wysiedliśmy, nieopodal pewnej wioski, której jeszcze nie było widać, nasza drużyna została wysłana na flankę, podczas gdy inni zabezpieczali tyły, a reszta weszła do wioski. Jak zawsze nie ma nic lepszego niż być na flance, kiedy człowiek porusza się po nieznanym terenie, żeglując przez umytą, oczyszczoną esencję pól, w nieskażonym przezroczystym powietrzu, przez sady częściowo zaorane (przed nastaniem gniewu), a częściowo porośnięte trawą (w dniach gniewu). Jak przyjemnie brodzić po zamulonych ścieżkach, śliskich od stojącej wody i świeżego błota, aż twoja młodość, nawet jeśli nie jest już młodzieńcza, wtargnie z całą świeżością. Nawet ciężar „ekwipunku” wpijający się w dłoń może stać się czym innym i przypominać, jak gdyby nigdy nic, zwykłą rzecz,

która należy do grupy idących ludzi, powiedzmy do pracy, czy może nawet, na przykład, do stada ćwierkającej dzieciarni. Tak sobie brodziliśmy, rozmawialiśmy i gawędziliśmy, żartowaliśmy i śpiewaliśmy nie za głośno, ale radośnie; było jasne: dzisiaj dla nas to nie będzie wojna, a jeżeli ktoś czegoś się obawiał, to nie miało to z nami nic wspólnego, niech Bóg będzie z nim, dla nas to była wycieczka.

Później dotarliśmy do wzgórza, tam przykucnęliśmy pod opuncjowym żywopłotem, byliśmy gotowi, żeby coś zjeść, kiedy jeden facet, niejaki Mojsze, dowódca naszej drużyny, zebrał nas i opisał sytuację, okolice i zadanie. Z jego słów wynikało, że tych kilka widocznych domów na zboczu kolejnego wzgórza to jakieś Chirbet Chiza, a wszystkie okoliczne sady i pola należą do tej właśnie wioski, i że jej obfite wody, żyzna ziemia i znakomite plony zyskały reputację równą jej mieszkańcom, którzy – jak mówiono – są złoczyńcami, wspierają wroga, są gotowi na wszelkie zło, gdy tylko nadarzy się okazja; na przykład gdyby tylko Żydzi pojawili się w sąsiedztwie, zapewniam cię, że od razu by z nimi skończyli, tacy oni są, taka jest ich natura. A kiedy przyjrzelśmy się dobrze tym kilku domom na przyczółku za niewysokim wzgórzem, spostrzegliśmy, że między nami a nimi rozpościerały się sady, zadbane ogrody, rozrzucone tu i tam studnie, zobaczyliśmy Chirbet Chiza w całej okazałości, gdzie nie było nic, co wymagałoby dalszych wyjaśnień. Z drugiej strony rosły drzewa, sykomory jak się wydaje, rosły tu i ówdzie, tak potężne i spokojne, że zdawało się, że nie są już częścią roślinności, tylko świata nieożywionego. Potem ktoś przyszedł z pomarańczami i zjedliśmy je.

Następnie skrzyliśmy i weszliśmy w oślizgłe, jeszcze nieobsiane szare bruzdy, popchnęliśmy wielką drewnianą bramę w murze, szliśmy w górę wąską ścieżką, aleją opuncji figowych wyściełaną łajnem i chłodnym mchem, gdzie jasnoty, dymnice i bezkwiatowe rośliny zwijały się w swojej obfitości, uginając pod wilgotno-szarawym ciężarem, skromnie skrywając się w ciemności żywopłotu; i znów się wspięliśmy, na kolejne wzgórze. Stąd rozpościerał się widok na wioskę. Zajęliśmy pozycje, ustawiliśmy karabin maszynowy, byliśmy gotowi. A potem, kiedy ten pochylony nad swoim sprzętem, nasłuchując i nadając do bezprzewodowej słuchawki, poinformował nas ceremonialnie, że jest jeszcze czas do godziny zero, to wtedy każdy znalazł sobie suche miejsce, żeby usiąść albo wyciągnąć się i poczekać w spokoju, aż wszystko się zacznie.

Nikt nie wie lepiej od żołnierzy, czym jest oczekiwanie. Nie masz godziny, nie masz miejsca, nie masz sytuacji, w której żołnierze by nie czekali. Jest oczekiwanie w okopach, oczekiwanie na atak, oczekiwanie na wymarsz, oczekiwanie na rozejm; bezlitośnie długie oczekiwanie, oczekiwanie pełne niepokoju, nużące oczekiwanie, oczekiwanie, które pożera i trawi wszystko, bez ognia i dymu, bez celu i bez czegokolwiek. Robisz sobie jakieś miejsce, kładziesz się i czekasz. Gdzie to myśmy nie leżeli?

Był czas, kiedy zaczęliśmy podbijać wioski, czas, w którym byliśmy jeszcze wybredni. Lepiej było stać albo iść cały dzień, byle tylko nie siedzieć na tej ziemi, gdyż nie była to żyzna polna ziemia, ale ziemia pokryta zgniłym brudem, chora

z odrazy, na którą całe pokolenia spluwały, wylewały swoje płyny i ekskrementy, odchody bydła i wielbłądów; kawałki ziemi dotykające smrodu pozostałości ciasnych i ubogich domostw. Wszystko skażone, wzięcie czegoś do ręki napawało obrzydzeniem – ale już w godzinach popołudniowych wszyscy leżeliśmy rozłożeni w całej okazałości na tym obsikanim, odrażającym brudzie, leżeliśmy wygodnie, zahartowani, co chwilę śmiejąc się do łez.

Ach, te dni w okopach. Raz mieliśmy tam jednego karła o śniadej, ospowatej twarzy i wełnistych włosach, który wychodził wtedy zabawiać serca ludzi, wygłupiając się i strojąc miny, ubrany w brudną podkoszulkę, po raz tysięczny udawał, że nadaje w radiu, mówiąc nieustannie ochryplym głosem: „Słyszysz mnie, słyszysz mnie, kochana? Jestem na wzgórzu, jestem na wzgórzu, w ruinach, w ruinach. Potrzebuję cię, czekam na ciebie – słyszysz mnie? Odbiór!”. Wszyscy z łatwością łapali sugestię i odpowiadali wybuchem dzikiej radości – bojąc się przestać, śmiali się dłużej, niż było to potrzebne.

Ścierwa psów cuchnęły, ale nikt się tym nie przejmował. Całe dni w zastanym kurzu, w spleśniałym znużeniu, w przygnębiającym zagrożeniu, w brudzie, od którego nie było ucieczki. Leżąc i czekając na to, co ma nadejść. Lub na cokolwiek. Nie ma żadnego cnotliwego, który posypałby się proszkiem na pchły. Leżeliśmy, przyczajeni w jakiejś zacięnionej dziurze. Kiedy słońce się obracało, zawieszaliśmy na nim pełne wyrzutu spojrzenie, nie poruszając żadną kończyną – nawet gdyby słońce eksplodowało, ty i tak byś się



nie ruszył. Kiedy w końcu wiała przyjemna morska bryza, poruszając suche i złowrogie zasłony brudnego pyłu, nagle wzbierała w tobie nadzieja, na przekór wszystkiemu. Boleśne zawrodozenie natychmiast rozlegało się w tobie i wszyscy zaczęli myśleć o dziewczynach. O czymś, co jest w nich wszystkich, i o tym, co jest w tej jednej wyjątkowej pośród nich; tylko że zanim bryza złożyła swoje skrzydła, mętne prądy z ogromną siłą pochłaniały tę chwilę dobrego samopoczucia – nie zostawało z tego nic poza rodzajem zmętnienia, które wyciekało jak czarna żółć, powodowało potrzebę natychmiastowej zemsty, łamania, niszczenia czy niechby tylko zdeptania. Chłostaliśmy, aż do odrętwienia ręki, wielbłąda poruszającego skrzypiącym i ociekającym wodą kołowrotem, i skopaliśmy starego Araba, którego zostawiliśmy, aby dopilnował wydobycia wody, a który z wielkiej chęci bycia pomocnym, trzymał wielbłąda za powróż, nie chcąc go zgubić, i szedł tak dokoła razem z nim, nieustannie kręcąc się przez długie godziny, razem: on i wielbłąd; strzelaliśmy dziesiątkami pocisków do wystraszonego psa, dopóki nie padł; popadaliśmy z kimś w morderczy konflikt, a potem znowu wracaliśmy do znużenia i odrętwienia, do podłych, monottonnych posiłków, gryząc i żując, rzucając puszką lub kopiąc ją tak blisko piekła, jak się da, dodając parę podobnych przekleństw, czekając, aż coś się wydarzy, niech się wydarzy już, niech się wreszcie wydarzy, do diabła!

Kiedy nadchodziło popołudnie, które z bliska było zakurzone, a z daleka mieniło się szklistą lepkością żaru, wskazując zarys rzeczy, które – jak się wydaje – nie należą do

tych stron i które ciebie nie dosięgną, gotując się w przyjemności lipcowego dnia nad rozległą żółtawoszarą krainą, pozbawioną kawałka cienia, niedającą schronienia, diamentralne przeciwieństwo wilgoci; kiedy więc zakurzone popołudnie gotowało się w całkowitej wolności, nasze godziny ciągnęły się bez końca, wysychając i kończąc się wielkim smutkiem w nicości, która pełzała ciężko i gładko, wyrównując wszystko – aż to wszystko stanie się takie same, do końca płaskie i nieistotne, aż ktoś nie będzie już w stanie wytrzymać i skoczy, zbiegając ze wzgórza, krzycząc do tego kogoś przy studni, kto wyciska ze skrzypiącego kołowrotu nici wody, na której krople rzucają się pożądliwie rozszoszczone osy, a on krzyczy raz za razem z narastającą furią: „Kłujcie tego łajdaka w tyłek! Żeby się ruszył trochę, żeby się ruszył ten drań!”

Któż jak żołnierz nauczony jest czekać? Ale tego pięknego zimowego poranka, na tym porośniętym wzgórzu, kiedy wszystko wokół zdało się zielone i nasycone wilgocią, było to jak przystanek podczas szkolnej wycieczki, kiedy nie masz na głowie nic oprócz radości i świętowania miłych godzin, a potem powrotu do domu, do swojej mamy. Leżeliśmy na plecach, na brzuchach, wyciągnięci na boku, nasze nogi rozrzucone swobodnie w każdym kierunku, nasze języki z łatwością wywijają się, gadając, przeżywając, i wszystko, czego oczekiwano od nas w tej misji, nie było warte funta kłaków, tamta wioska i infiltratorzy, którzy w niej byli, i wszystko, co tylko diabeł tu nadał. Nikomu nie byliśmy nic winni, o nic się nie martwiliśmy i na niczym nam nie zależało.